

Małżeństwo i polityka

Po reorganizacji naszego życia teatralnego mamy na obecny sezon (niezbyt bogaty w premiery) dwa teatry grające w POSK-u: Teatr Polski ZASP-u, oraz przyjeżdżające z Polski zespoły teatralne, na zaproszenie Urszuli Świątcickiej, czyli po prostu jak gdyby Teatr Świątcickiej, bo czego p. Urszula nie zaprosi i nie sprowadzi z kraju, tego nie zobaczymy.

Dawniej nazywało się to wszystko Teatrem Nowym i łączyło występy gościnne teatrów krajowych z przedstawicielami organizowanymi i komponowanymi w Londynie. Ma ten teatr duże zasługi — był jedynym teatrem, który, po 50 latach działalności ZASP-u na obczyźnie, potrafił zawieźć do Warszawy sztukę, przygotowaną w Londynie i bardzo gorąco przyjętą w Polsce. I nawet nie wahał się nazwać tych licznych wizyt, czy to z Warszawy, czy z Łodzi, „najlepszym teatrem stołecznym”, nieustającym popisem najlepszych polskich aktorów, tyle tylko, że pojawiających się na scenie nie w Warszawie a w Londynie. Coś jak gdyby „ekspozytury Teatr Narodowy”. Dzięki temu mogliśmy tu oglądać czołowych polskich aktorów. Nie sposób wliczyć wszystkich, ale dość wymienić takie nazwiska, jak: Olbrychski, Zapasiewicz, Voit, Holoubek, Englert, Machalica, Mrożewski, Łapicki, Łomnicki — wymieniam to, co mi pamięć podsuwa w pierwszej chwili, bez żadnej hierarchii. Dodajmy do tego nazwiska kobiecych „gwiazd”, takich jak: Zawadzka, Janda, Dymna, Seniuk, Jędrusik, Komorowska, Wiśniewska, Figura, Hanin — pobieżne zestawienie, opuszczające wielu, a które chyba usprawiedliwi mój żart, że mamy do czynienia ze swoistym wędrownym, warszawsko-londyńskim „teatrem narodowym”.

Zdzisław Broncell

Oczywiście były i błędy, ale tylko ten co nie robi, nie będzie błędów popelniać. Niezdarny i nierzetelny wobec spuścizny Tuwima kabaret tuwimowski z „Ateneum” został już dość ośmieszony; W. Młynarski okazał się banalny, niedowcipny, nieaktualny i wulgarny; „Monte Cassino” zawiodło oczekiwania; „Skiz” mimo złotych nazwisk aktorskich okazał się niewypałem. Ale bilans całości wypada dodatnio.

Do tego bilansu przybywa dzisiaj nowa pozytywna pozycja: sztuka Briana Clarka pt. „The Petition” (polski tytuł „Lady i General”, nie zawsze żrący przekład Miry Michałowskiej), pięknie zagrana przez Maję Komorowską i Andrzeja Łapickiego. Dla ich gry warto było sztukę przywieźć do Londynu i zobaczyć, mimo pozornej tylko głębi poruszonego problemu i ucieczki autora przed analizą trudnych zagadnień.

Całość wypełnia dialog pary małżeńskiej, zaślubionej w dniach chwały imperium brytyjskiego, a teraz przeżywającej emeryturę w wygodnym domu z ogrodem na sielskiej prowincji, czy sielskim przedmieściu wielkiego miasta, ale już w okresie schyłku angielskiej potęgi i zamożności. On jest eks-generałem, mającym za sobą karierę w Indiach; ona — jest panną z dobrego domu, wydaną w wieku osiemnastu lat za przystojnego oficera z arystokratycznym nazwiskiem, o bardzo konserwatywnych poglądach, lojalnego wobec swej kasty, co zapowiada prawidłowy rozwój kariery bez względu na posiadane talenty. Małżeństwo było udane i nawet gorliwe: młodzieńcza miłość dla

dzielnego oficera, umieszczona w granicach konwenansu obowiązującego w klasie pochodzenia narzeczonej; czworo dzieci; późnie rozstania wywołane obowiązkami męża, aż wreszcie wspólna, spokojna starość.

Ten szczęśliwy początek budzi nawet smak na Ibsenowski dramat, na dwa akty „małżeńskiej prawdy”. Oczekiwania widzów spełniają się tylko częściowo, mimo ujawnienia długotrwałego romansu żony.

nie romans bowiem staje się początkiem kryzysu, ale rozwój indywidualności żony, która, wolna już od nadmiaru obowiązków domowych, od różnych ostrych poglądów, koniecznych ze względu na karierę i środowisko męża, zaczyna myśleć samodzielnie i zmienia swą przynależność socjologiczną z pozycji „kobiety-żony” na pozycję „kobiety-człowieka”. Okazuje się wówczas jak bardzo jest odrębna od męża. Wychowała czworo dzieci, wzbogaciła rasę ludzką o cztery nowe istnienia, była prawdziwym dawcą życia, podczas gdy mąż uprawiał rzemiosło zabijania i ciągle dzielił ludzką na „swoich” i na „wrogów”. W pierwszej akcie jest wzmianka o straszliwej masakrze, urządzonej podstępnie w Indiach przez jednego z angielskich generałów. Było to gorzej niż zbrodnia, bo groźny błąd polityczny. Nawet opinia imperialna oburzyła się na spędzenie masy Indian do zamkniętego terenu, a potem otworzenia do nich ognia z karabinów maszynowych. Klasyczne ludobójstwo. Tak myśli żona, podczas gdy mąż mówi o swym koleźce: *A jednak to był dobry żołnierz...* Dobrego żołnierza postawiono przed sąd wojkowy, trochę skrytykowano, a właściwie uniewinniono i dyskretnie usunięto w ciem.

Z tej atmosfery śmierci, wymierzonej na zimno dla celów politycznych, żona ucieka w słońce swej drugiej miłości. Ale gdy mąż przeżywa swoje „orgazmy” na polu walki (jest znany sędzia angielski, który doznawał swoistych przeżyć erotycznych w chwilach wydawania wyroków śmierci — autor sztuki operuje tą aluzją, niezrozumiałą dla polskiego widza), i gdy otrzymuje za nie awanse i ordery, żona za swoje uniesienia płaci wyrzutami sumienia. Szuka więc szczęścia uczciwego, szczęścia w służbie szlachetnej idei. Znajduje je w bezkrytycznej, naiwnej działalności na rzecz rozbrojenia atomowego. Podpisuje odpowiednie petycje, bierze udział w zebraniach, ma nawet wygłosić programowe przemówienie.

Wszystko to wychodzi na jaw wskutek wzmianki w „Times”, czytany podczas porannej kawy. Konflikt. Mąż uważa, iż żona zdradziła swoje społeczeństwo, swoją klasę, pracę całego jego życia. Żąda wycofania się z tej działalności. Odmowa. Stajemy na rozstajnych drogach. Od Ibsenowskiego problemu, czy lepiej zataić prawdę i nie niszczyć spokoju, osiągniętego po burzach życia, czy

też należy na pierwszym miejscu postawić uczciwość wewnętrzną i powiedzieć całą prawdę, przechodząc do problemu politycznego i metafizycznego, czy może nawet religijnego.

Początkiem tzw. „zakochania” jest przede wszystkim instynkt biologicznego doboru, sympatia fizyczna. Potem następuje konfrontacja osobowości, a paradoksem stanu „zakochania” sprawa, że najbardziej przyciągają się wzajemnie charaktery najbardziej odrobne. Znamy romantyczną legendę o „dopelnianiu się dusz”. Wiemy też iż prawo fizyczne: *każdy młody człowiek i młoda kobieta przyciągają się wzajemnie w sposób wprost proporcjonalny do masy i odwrotnie proporcjonalny do kwadratu odległości* działa w tych wypadkach najściszej. A tymczasem warunkiem dobrego małżeństwa jest przede wszystkim podobieństwo charakterów i zgodność poglądów, zamiłowań i usposobień. Czyli — akurat odwrotnie!

Dla tej kobiety, wyznającej kult życia, zachwycającej się fotografiami Ziemi, robionymi przez astronautów, mąż, pochwalający zbrojenia atomowe i rzucający aforyzmy *better dead than red*, staje się człowiekiem obcym. Rozmawiałem kiedyś z astronautami amerykańskimi, którzy pierwsi lądowali na Księżycu. Mówili zgodnie, że w zestawieniu z przerażającą „krajną śmiercią”, Księżyc, bujność życia Ziemi i bogactwo jej kolorów, wywołały w nich niemal religijny zachwyt. Ogarniała ich groza na myśl o bezsensie i niebezpieczeństwie ziemskich konfliktów politycznych. Ale mimo to nie poszli nigdy na demonstrację przeciw broni atomowej.

Ten kontrast odsłania wewnętrzną pustkę myślową sztuki Clarka, jej tani, pozorny idealizm. Wiadomo, że Rosja organizowała propagandę antyatomową za granicą, ponieważ obawiała się przewagi atomowej Zachodu, ale nigdy nie dopuściła do tego rodzaju demonstracji na swoim terenie. W tych warunkach przeciwdziałanie zbrojeniom atomowym Zachodu było zachęcaniem Rosji do podboju Europy. Gdyby linię ro-

zumowania bohaterki sztuki doprowadzić konsekwentnie do końca, nie należałoby przygotowywać w Ameryce bomby atomowej, choć być wiadomo, że pracują nad nią dla Hitlera uczeni niemieccy. I co wtedy?

Autor wyczuwa tu słabość swego argumentu „nie niszczyć cudu życia” i zachwianie się sympatii dla jego bohaterki, stosuje więc „uderzenie poniżej pasa” — „Lady” ujawnia, że jest chora na raka i że ma przed sobą zaledwie trzy miesiące życia. Współczucie ma nam zamknąć oczy na luki jej rozumowania.

Sztuka teatralna jest jak kobieta dobrze lub źle ubrana. Piękny strój może ukrywać niedobrą figurę i przysłańcać brak urody. Także odwrotnie: zła sukienka może zasłonić i zgasić prawdziwy wdzięk. Tą suknią jest słowo, jest nią kształt sceniczny. Zadaniem krytyki jest rozebrać sztukę z jej sukni. W zastosowaniu do *Lady i General* równa się to odrzuceniu żręcej faktury scenicznej i wskazaniu na nainność postawy myślowej.

W każdym razie sztuka Clarka dała sposobność do podziwiania Maji Komorowskiej w roli „arcykobiety — dawczyny życia”. Spełnia się opinia, iż artyści filmowi, a Maję znamy głównie z jej wielu kreacji filmowych (filmy Zanusiego), mają na scenie o wiele bogatszą mimikę twarzy, niż ci, co nie grają w filmach. Maja gra nadto rękoma: jest to nieustanny wymowny balet tekstu i dłoni. Łapicki, inny mistrz naszej sceny, dał oszczędną kreację sylwetki generała-gentelmena, który wiedział o romansie żony, ale go nie ujawnił, by nie obciążać dzieci złym wspomnieniem, nie niszczyć przeszłości, nie ubliżać swojej klasie społecznej. Można by nawet tę sztukę napisać z jego punktu widzenia — byłaby to wtedy „czarna komedia” spod znaku Ibsena.

Wnętrze obu aktów wyposażono w ładne, zamożne, stylowe meble, ale trudno mi uwierzyć, aby ludzie z tej sfery, tak bardzo konserwatywni wymalowali sobie salon na jaskrawą czerwień, jak im to zrobiła scenografia R. Czajkowskiego.